

Wielki polski blef



fot. pinterest

Florian Śmieja

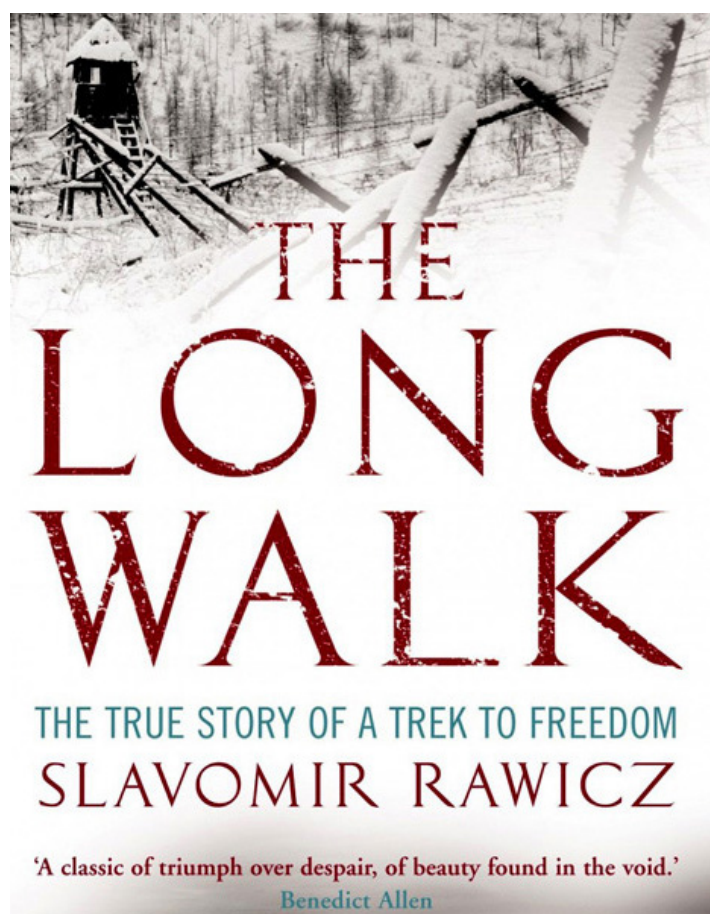
Ponieważ dobrą historyjkę można opowiedzieć wiele razy, ja także to, co wam opowiem, relacjonowałem kilkakrotnie. Lecz za każdym razem jest ona nieco inna, niepewna pamięć jest o niej mniej przekonana, błędna szczegóły i gubią się, choć nie zmienia się aura oraz zdumienie czytelnika i słuchacza.

W latach sześćdziesiątych byłem wykładowcą literatury i języka hiszpańskiego na angielskim uniwersytecie w Nottingham. W tym mieście położonym w środkowej Anglii wychodząca w Londynie gazeta „Dziennik Polski” zorganizowała doroczny w owym okresie wybór Miss Polonii. Jakimś trafem zostałem dokooptowany do jury, które miało wybrać najszykowniejszą Polkę. Zapamiętałem, że w skład pań wchodziła autentyczna angielska lady oraz popularna piosenkarka Renata Bogdańska inaczej mówiąc, generałowa Andersowa. Wśród mężczyzn frapował tajemniczy Sławomir Rawicz, intrygujący bohater głośnej książki „The Long Walk” czyli „Długiego marszu”. Nie mogę sobie darować gapiostwa, tego, że nie przypatrzyłem mu się dokładnie, bym go mógł dzisiaj rzetelnie opisać.

W tamtych latach wywołał on w Wielkiej Brytanii sensację, jako protagonista rewelacyjnego reportażu. Przedstawiono go w nim jako polskiego oficera kawalerii aresztowanego przez Sowietów w listopadzie 1939 roku i skazanego na 25 lat ciężkich robót.

Pociąg z transportem więźniów, wedle tych relacji, jechał trzy miesiące na wschód. Warunki i ciężka zima pochłonęły wiele ofiar. Obóz 303 wedle załączonej do książki mapy, leżał na południowy zachód od Irkucka. Mimo tych ogromnych odległości, Rawicz zaczął myśleć o ucieczce. Wtajemniczył w swój plan kilka osób, Polaka, Litwina, Łotysza, Jugosłowianina i Amerykanina. Puścili się w szaleńczą drogę. Przy jeziorze Bajkalskim dołączyła

do nich Polka, Krystyna. Przekroczyli tory kolei transsyberyjskiej i weszli do Mongolii. Podczas upalnego sierpnia przebyli pustynię Gobi. Tam z wycieńczenia zmarła Krystyna, a po niej, jeden z mężczyzn. Omijali miasta, jedli węże, żeby przeżyć. Droga wiodła rubieżami Chin do Tybetu. Widmowe postacie szukały u Tybetańczyków żywności i schronienia. Przebyli szczyty Himalajów i dotarli do Indii. W szpitalu w okolicy Kalkuty potem powoli wracali do zdrowia.





Rawicz po licznych przesłuchaniach, dostał pozwolenie, by dołączyć do wojska polskiego stacjonującego w Iranie.

Podyktował swoją opowieść dziennikarzowi angielskiemu Ronaldowi Downingowi. Dramatyczny wyczyn wywołał w Wielkiej Brytanii ogromne poruszenie. Książka rozeszła się w półmilionowych nakładach, ukazały się przekłady na dwadzieścia kilka języków. Eksperci od Dalekiego Wschodu nie mogli wyjść ze zdumienia. Nie wierzyli, by grupa więźniów mogła dokonać tak niebywałego wyczynu. W telewizyjnych i radiowych spotkaniach z Rawiczem bez końca dyskutowano i kłócono się o szczegóły, kwestionowano i zaprzeczano. Protagonista

usprawiedliwiał się i wikłał w zeznaniach, bronił się, ale wielu sceptyków nie przekonał. Odezwały się liczne głosy niedowiarków, ale książka sprzedawała się znakomicie. Po czasie, kiedy strony nie potrafiły dojść do zgody, empiryczni Anglicy radzili przenieść w bibliotekach książkę z działu „autobiografii” do „beletrystyki”.

Bohater epopei zmarł w 2004 roku. Dochodzenia wykazały jednak, że Rawicz wyszedł z wojskiem polskim ze Związku Sowieckiego na zasadzie amnestii w 1942 roku i żadnego rewelacyjnego marszu nie dokonał, a inny Polak, Witold Gliński, ogłosił w maju 2009 roku, że to on był właściwym protagonistą książki.

Niemniej fantazja i tupet Rawicza już w 1955 roku zwróciły uwagę i zainteresowanie na Zachodzie na okryte tajemnicą realia sowieckiego kolosa, o którym wnet potem zaczęły krążyć intrygujące plotki i domysły, aż do jego ostatecznego zdemaskowania i upadku.

Poeta zapomniany.

Część I.



Czesław Ratka w Madrycie

W październiku 2017 roku ukazał się III tom i ostatni niezwykłego tłumaczenia na język polski XVI-to wiecznego narodowego eposu Chile o wojnie hiszpańskich Konkwistadorów z chilijskim plemieniem Mapuchów, autorstwa Alonso de Ercilla y Zuñiga, naocznego świadka wydarzeń. Tom I „Araukany” w polskim tłumaczeniu ukazał się w 2013 roku, a w roku 2016 tom

II. Tłumacz, pan Czesław Ratka to polski inżynier elektronik, pasjonat literatury, mistrz pióra, nagrodzony w 2013 roku przez Instytut Cervantesa w Polsce za tłumaczenie literackie. Autor tego unikalnego przekładu pisze o genezie utworu, trudnej historii Chile i swojej benedyktyńskiej pracy.

Redakcja

Czesław Ratka

Z pierwszymi wzmiankami o istnieniu trzyczęściowej wierszowanej relacji z walk o opanowanie przez Hiszpanów terytoriów chilijskich zatytułowanej *La Araucana*, autorstwa Alonsa de Ercilla y Zúñiga, zetknąłem się prawie pięćdziesiąt lat temu. Nie przypominam sobie, w jakiej książce, ani kto był jej autorem, ale pamiętam, że pierwsza część eposu była w niej chwalona, druga była krytykowana za obecność wtrętów niezwiązanych z historią podboju oraz wstawek fantazyjnych, a trzecia – uznana za najgorszą, jako zlepek przypadkowych, niespójnych treści na różne tematy. Pamiętam też, że taką samą, lub podobną, opinię spotykałem później wielokrotnie w różnych tekstach na temat konkwisty, pisanych przez różne osoby. Taki sposób przedstawienia epopei chilijskiej nie zachęcał do sięgnięcia po nią. Dzisiaj wiem, że była to ocena historyka poszukującego u dawnych autorów faktów o konkwiście, a nie miłośnika poezji epickiej. Wartości literackie nie miały tu

żadnego znaczenia.

Dziewięć lat temu natrafiłem w Internecie na pełen tekst epopei Ercilli i zrozumiałem od razu, dlaczego uchodziła za nieprzetłumaczalną. Jest napisana oktawą rymowaną (na wzór włoskiej *ottava rima*) – wers jedenastozgłoskowy, rymy *abababcc* – z takim bogactwem treści i form językowych, że trudno sobie wyobrazić możliwość oddania całego mistrzostwa autora w innym języku przy jednoczesnym zachowaniu rygorystycznej formy. Zrobiłem własną przymiarkę do przełożenia choćby jednej oktawy, ale po kilku dniach się poddałem. Osiemnaście miesięcy później powtórzyłem próbę, tym razem z sukcesem.

Obecnie mam przed sobą dopiero co odebrany z drukarni trzeci (ostatni) tom mojego przekładu. Poprzednie ukazały się w latach 2013 i 2016. Praca nad częścią pierwszą (1136 oktaw) trwała trzy lata, nad częścią drugą (966 oktaw) – dwa i pół roku, a nad trzecią (530 oktaw) – piętnaście miesięcy; przy czym ta trzecia jest objętościowo wyraźnie mniejsza. W sumie 2632 oktawy, czyli ponad 21 tysięcy wersetów.

LA ARAVCA

na de don Alonso de Er-
cilla y çuñiga.

DIRIGIDA A LA SACRA

Catholica Real Magestad del R^{ey}
Don Philippe nuestro Señor.



EN SALAMANCA,

En casa de Domingo de Portonarij, Impres-
sor de su Catholica Magestad.

1 5 7 4

Con privilegio de Castilla, y de Aragon.

A costa de Vicente, y Simon de Portonarij.

Esta es la primera vez que se publica.

Renesansowe wydanie „Araucany”.



Alonso de Ercilla y Zúñiga na dawnej rycinie.

Alonso de Ercilla y Zúñiga urodził się w Madrycie w roku 1533. Wcześniej osierocony przez ojca, jurystę, członka Rady Królewskiej, był wychowywany na dworze późniejszego króla Filipa II, gdzie otrzymał solidne wykształcenie. Jako paź księcia brał udział w każdej jego podróży, dzięki czemu poznał wiele krajów Europy. W wieku 21 lat, świeżo pasowany na rycerza, dowiedziawszy się o buncie Indian chilijskich, Mapuczów (których później nazwie Araukanami), udał się do Chile, by mieczem udowodnić swoje oddanie dla króla i kraju, i zakosztować przygód. Egzotyka Nowego Świata, ogrom przeżyć,

a przede wszystkim podziw dla Mapuczów – którzy, jako jedyne plemię indiańskie zachowają swoją niezależność przez trzysta pięćdziesiąt lat – sprawiły, że poczuł potrzebę uwiecznienia ich za pomocą pióra; i choć wielu chwali jego wyczyny wojskowe, on sam pisze o tym tak:

Kroku w prowincji tej nie wykonano,

Żebym go własną stopą nie przebadał;

Ciosu ni pchnięcia nożem nie zadano,

Bym nie powiedział, kto tę ranę zadał;

Owszem, w potyczkach mało mnie widziano,

Gdyż to, com widział, i co opowiadam,

Tak bardzo umysł mój oczarowało,

Że ramię miecza dobyć zapomniało

Jeśli skłoniło mnie coś, bym to spisał-

Choć talent marny, a styl mój koślawy –

To chęć, by czyny przetrwały w zapisach

I żeby czas ich niesłusznie nie strawił.

Opisywał na gorąco to, czego był świadkiem i to, czego się dowiedział o wydarzeniach wcześniejszych od ich uczestników. Wziął udział w siedmiu walnych bitwach, między innymi w tej, która zadecydowała o upadku indiańskiego powstania; a choć opisywana kampania kończy się wygraną Hiszpanów, w wierszach jego nie znajdziemy nut tryumfu. Dostrzega okrucieństwo i odczuwa moralne wyrzuty za uczestnictwo w przedsięwzięciu, które nie przynosiło chwały Hiszpanom. Skoro jednak obiecał opowiedzieć rzetelnie wszystko do końca, pisze w zakończeniu pieśni XXXI:

Nie wiem, jakimi słowy ten szturm krwawy

Opowiem, jakim sposobem wyrażę

Tę słuszną litość i słuszną nienawiść,

Bo obie zawsze zjawiają się razem.

Duch to stanowczy, to pełen obawy

Mnie powstrzymuje i wątpić mi każe,
Bo gdy współczucie i żal wzbudzę w sobie,
Potępię, jako złe, to, co tu robię.
Jeśli pomine ten atak na bramę
I tak po uszy jestem weń wplątany,
Jeśli to tutaj zostawię w tym stanie,
Złe się wywiążę z obietnic składanych;
Tak więc wątpiący w dobre rozwiązanie,
Przeciwnościami tymi wciąż targany
Do innej, nowej pieśni to odkładam,
Ponieważ jest mi potrzebna porada.

Jeżeli dzisiaj, na fali refleksji nad niesławnym aspektem podboju

Ameryki, rozpoczętej przy okazji pięćsetnej rocznicy pierwszej podróży Kolumba, oryginalne relacje z podboju, tak niedawno jeszcze mające swoją sekcję w każdej większej księgarni w Hiszpanii, są *démodé*, to mamy tu przykład, że nie powinniśmy każdego z jego uczestników oceniać tak samo. Dowodów takich jest w *Araukanie* niemało.

Ercilla spędził w Chile zaledwie siedemnaście miesięcy. Jego przygoda skończyła się nagle w sposób dla niego fatalny. W trakcie świętowania nowiny o koronacji Filipa II wdał się nierozważnie w pojedynek z innym młodym szlachcicem, za co gubernator García Hurtado de Mendoza, główny dowódca wojsk hiszpańskich, skazał obu na ścięcie. Surowy ten wyrok został wprawdzie wkrótce zamieniony na wygnanie z Chile, miał jednak wpływ zarówno na życie poety, jak na losy jego poematu:

Święto zakłócił traf nieprzewidziany,

A sędzia taką skwapliwość wykazał,

Żem wnet na suknie stał jako skazany,

Bo mnie na gardle zaraz karać kazał;

Złoczyńcą stałem się zdeprawowanym,

Jak to publiczna pogłoska rozgłasza,
Przez to jedynie, że za miecz chwyciłem,
Choć go bez racji nigdy nie dobyłem.

Po powrocie do Hiszpanii autor wydał drukiem pierwszą część swojej epopei (w roku 1569). Cała miała opowiadać wyłącznie o wojnie, jak zapowiada już w pierwszej oktawie:

Nie o miłości śpiewam, nie o damach,
Nie o konkurach szlachetnych rycerzy,
Nie o ich troskach, czułościach, staraniach
Ani o głębi ich miłosnych przeżyć,
Lecz o odwadze i o dokonaniach
Owych walecznych hiszpańskich żołnierzy,
Którzy na karki wolnych Araukanów
Włożyli jarzmo po krwawym zmaganiu.

I tak rzeczywiście jest – przeplatają się w niej dwa wątki: araukański i konkwistadorski. Wprawdzie pod koniec pojawia się epizod miłosny, ale akceptujemy go, gdyż przedstawia pożegnanie jednego z głównych bohaterów, mającego zginąć, z żoną, co przywołuje nam w pamięci scenę pożegnania Hektora z Andromachą w Iliadzie, a takie nawiązanie do wzorów antycznych jest u renesansowego poety zrozumiałe. Autor sam jednak zaczyna wątpić w słuszność zawężenia tematyki do spraw Marsowych, które sam sobie narzucił:

Jużem to chciał tu zostawić, uznając,
Że trwa zbyt długo i znuży każdego
(Kiedy prawdziwy bieg spraw przybliżając,
Trzymam się ciągle tematu jednego);
Bo słowa tak się gładko nie składają
I nie ma nigdzie pióra tak nośnego,
By długo pisząc, w rutynę nie wpadło –
Jak nie ma jadła, by się nie przejadło.



Bitwa pomiędzy Hiszpanami i Mapuchami, rycina z poematu epickiego „La Araucana” Alonso de Ercilla y Zúñiga, wyd. Madryt 1884, red. J. Gaspar, s. 168.

Część pierwsza została przyjęta bardzo dobrze, a autora spotkały zaszczyty zachęcające go do kontynuowania dzieła. Dziewięć lat później ukazuje się drukiem część druga, a zachwycony Garcíá Hurtado de Mendoza, gubernator Chile – ten, który kiedyś skazał Ercillę na śmierć – dołącza do wydania sonet własnego autorstwa na cześć twórcy. Teraz już autor nie zamierza trwać przy obietnicy wypowiedzianej w pierwszej oktawie poematu, która nie pozwalała mu na szersze pokazanie jego możliwości, i dwa wątki podstawowe, opowiadające dalsze dzieje wojny chilijskiej, ozdobi pękiem historii dodatkowych, prawdziwych i fantazyjnych, splecionych w jedną całość dzięki własnemu

kunsztowi poetyckiemu, jakby nam chciał powiedzieć o wszystkim, co ludzkie. Jest to prawdziwie renesansowe podejście, czego historycy krytykujący dzieło nie dostrzegli, ponieważ chcieli w nim widzieć sprawozdanie z wydarzeń historycznych, gdy w rzeczywistości jest pięknym dziełem literackim:

Od siebie rzeknę, z jakim zatroskaniem

Trzymam w pamięci oraz z jakim lękiem

Wspominam słowo niepotrzebnie dane,

Że rozpoczętą tę dokończę księgę;

Bo z tej materii suchej i niechcianej,

Tak bezowocnej, jaką wziąłem w rękę,

Mogę mieć tylko na trudy widoki,

Gdyż źle z makuchów wydobywać soki.

Kto mnie w te stoki i chwasty wpakował

Za głosem bębna i trąby chrypiącej,
Gdy mógłbym sobie po gajach wędrować,
Zbierając różne kwiaty woniejące,
Wplatając w treści, którem zaplanowałam,
Bajki, amory i plotki krążące,
Którymi mógłbym bez reszty się zająć,
Czerpiąc z nich radość i radość sprawiając?
Czy wszystko ma tu być walką, wrogością,
Niezgodą, ogniem, krwią i okropieństwem,
Napastliwością, nienawiścią, złością,
Zuchwalstwem, szaleństwem, urazą, szaleństwem,
Furią, odwetem, gniewem, potwornością,
Mordem, pogromem, rzezią, okrucieństwem,

Które i w Marsie odrazę wzbudzają,

A możliwości moje przekraczają?

O ile w części pierwszej są opisane wypadki mające miejsce przed przybyciem Ercilli do Chile, a zatem zasłyszane zaledwie przez niego, to w drugiej opisuje to, co zobaczył na własne oczy i co zrobiło na nim tak mocne wrażenie, że miecz postanowił zamienić na pióro. Trudno też wykluczyć, że po publikacji pierwszej części spotkała autora przygana, że marnuje swój talent na opiewanie mało istotnych awantur z dzikusami rozgrywających się gdzieś na końcu świata, dokąd podróż trwa cały rok, zamiast się zająć tym, co dla Hiszpanii, największej potęgi na świecie, jest najważniejsze i decydujące dla jej przyszłości; a także wychwalaniem sukcesów króla, któremu on sam tyle zawdzięcza. Ercilla musiał się więc wykazać nie lada inteligencją, wyobraźnią i zdolnościami, by spoić w jedną historię opis wojny araukańsko-hiszpańskiej, dziejącej się w latach 1553-58 w Chile, z bitwą pod Lepanto z roku 1571.

Trzecia część epopei, która ukazała się drukiem w roku 1589, miała mieć w zamyśle autora strukturę podobną do części poprzedniej: dwa wątki zasadnicze traktujące o wojnie chilijskiej oplecione bukietem epizodów pobocznych. Na to wskazuje jej kilka pierwszych pieśni. Tymczasem w Hiszpanii działały się

wówczas rzeczy ważniejsze, na które Ercilla, jako zawsze oddany i wierny swojemu władcy, nie mógł pozostać obojętny i musiał, bo tego chciał, wyraźnie wyartykułować swoje stanowisko w tej sprawie. Chodzi o interwencję Filipa II w Portugalii w latach 1580-83, której celem było włączenie tego kraju do jego królestwa. W ten sposób powstała pieśń zaplanowana przez autora jako końcowy akcent w jego poemacie. Należało tylko poprowadzić dokładane wątki ku temu celowi. Niestety przedwczesna śmierć poety nie pozwoliła na to przemyślane zespolenie. Dlatego trzecia część *Araukany* liczy tylko osiem pieśni (pierwsza miała ich 15, a druga 14) i sprawia wrażenie, jakby wydarto z niej kilkadziesiąt stron. Wprawia też w zakłopotanie czytelnika, który się w jej treści gubi, i jeśli nie przeanalizuje jej dostatecznie wnikliwie, powie o niej, jak nieraz miałem okazję czytać, że jest zlepkiem przypadkowych, niespójnych treści na różne tematy (mimo iż literacko jest może nawet lepsza, niż poprzednie).

„Poeta zapomniany”, część II ukaze się w poniedziałek 27 listopada 2017 r.

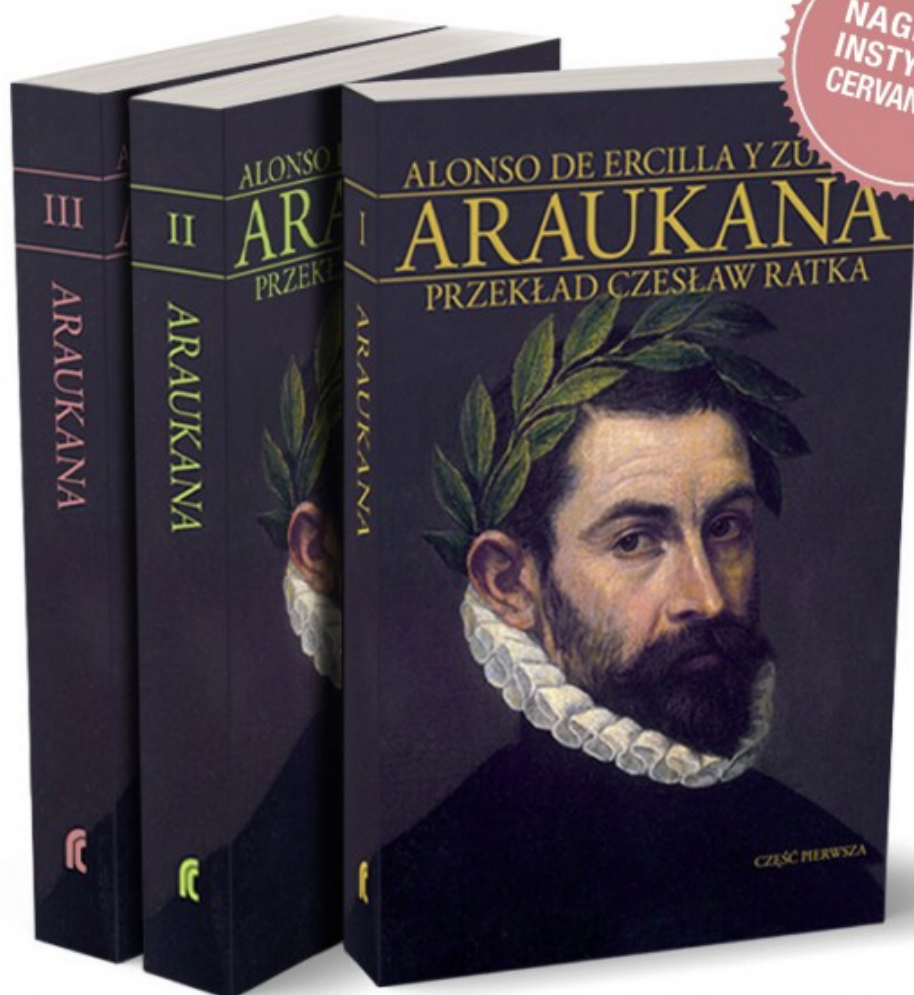
NAJLEPSZE DZIEŁO HISZPAŃSKIEJ POEZJI EPICKIEJ

PO RAZ PIERWSZY W HISTORII W JĘZYKU POLSKIM

Renesansowy poemat napisany oktawą rymowaną w układzie abababcc, opowiada w ponad 21 tysiącach wersetów historię zrywu chilijskiego plemienia Mapuczów (Araukanów) przeciwko inwazji hiszpańskiej w latach 1553–58.

Przez Cervantesa zaliczony do „najpiękniejszych kobierców poezji, jakie ma Hiszpania” i uznany za jeden z „najlepszych spisanych po kastylijsku bohaterskimi wersami, mogący rywalizować z najśłynniejszymi z Włoch”.

Przez Chilijczyków uważany za ich epopeję narodową.



* Nagroda Instytutu Cervantesa w Polsce za przekład literacki z języka hiszpańskiego – XI edycja 2013/2014

Wszystkie trzy części dostępne w Księgarni Bonobo (Kraków, Mały Rynek 8).

 Araukana – La Araucana

Czesław Ratka na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/witaj-swiecie/>

Czesław Ratka (ur. 1952) – polski inżynier elektronik, tłumacz literatury pięknej z języka hiszpańskiego. Ukończył Politechnikę Śląską. Oprócz szesnastowiecznego eposu *Araukana* Alonsa de Ercilla y Zúñiga, przetłumaczył relację Alvara Núñeza Cabezy de Vaca zatytułowaną *Naufragios*, która opowiada o wyprawie na Florydę, jaka miała miejsce w 1527 roku. Z trzystu uczestników ekspedycji przeżyło ją tylko czterech.

na podst. Wikipedii

Adam Fiala. Artysta niepokorny.

Pomiędzy życiem i sztuką polskiego „Aborygena” w Australii.



Adam Fiala na tle Blue Mountains w Australii.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Z zawodu wyuczonego jest Pan prawnikiem, z zawodu uprawianego - artystą. Jak pan godzi te dwa zawody?

Adam Fiala: Na szczęście nigdy nie musiałem wybierać. Jako prawnik byłem rodzajem artysty, jako artysta rodzajem prawnika, znałem się na prawie autorskim i *copy right*. Owszem studia polegały na nauce pamięciowej, potem aplikacje: sądowa i adwokacka, ale gdy wreszcie zdobyłem zawód radcy prawnego stałem się prawnikiem artystą. Pracowałem tylko w terenie na maleńkich działkach - póletaty, ćwiartki. Dawało to w sumie wynagrodzenie górnika dołowego przy minimalnej stracie czasu. Nie obowiązywało mnie siedzenie w urzędzie, wyjeżdżałem dwa razy w tygodniu najpierw w województwie lubelskim, potem warszawskim, w tak zwany teren. Pieczętką radcy podbijałem działania prezesa i ta praca się utrzymywała przy odrobinie szczęścia, a takowe miałem, do ogłoszenia stanu wojennego.

Potem się znacznie popsuło, tak więc nie żałowałem radcostw wyjeżdżając z kraju. W 1985 zjawiłem się w Australii, która z natury kochała karczujących pionierów - emigrantów, a nie radców prawnych z PRL-u.

JSG: Wybrał Pan prawo, jako kierunek studiów ze względu na tradycję rodzinną?

AF: No właśnie, prawo. Ojciec był adwokatem, wuj adwokatem. Ale ja osobiście uważałem prawo za suche i nudne. W Lublinie wtedy nie było Szkoły Aktorskiej czy też Konserwatorium, moje młodzieńcze pasje to nie było prawo, ale aktorstwo oraz gra na fortepianie. Uwielbiałem grać utwory klasyczne, zwłaszcza Chopina. Kto wie, gdybym poszedł do Konserwatorium, może brałbym udział w Konkursie Chopinowskim?

Ojciec był pomocnikiem wuja i marnie zarabiał, tak że w domu się nie przelewało. Poza tym większość pieniędzy pochłaniało hobby ojca, czyli zbieranie unikalnych znaczków pocztowych. Później za taki jeden znaczek można było kupić małego Fiata. Ale los się tak ułożył, że nic nie dostałem w spadku po rodzicach, jeżeli nie liczyć czarno-białego albumu fotograficznego ocenzonego przez matkę, bo był między rodzicami konflikt zakończony rozwodem i wyjazdem ojca z Lublina.

Prywatna nauka gry na pianinie dała mi możliwość zajęcia się później poezją śpiewaną, ale nie miałem większych sukcesów w tej dziedzinie i jak wyczuwałem... perspektyw. Byli inni dużo lepsi. Ponoć na dłoni mam znak, że wybrałem niewłaściwy zawód. Ale ja sobie świetnie dawałem radę z tymi terenowymi radcostwami przez dobre kilkanaście lat i zdobywałem materiał niezbędny dla pisarza czyli „samo życie”.



Adam Fiala (w środku) z bratem i kuzynem, fot. arch. rodzinne.

JSG: Artystyczne zamiłowania miała Pana mama?

AF: Moja matka była urodzoną artystką, miała bardzo sprawne ręce, robiła świetnie kopie znanych polskich malarzy. Jej problemem było to, że nie stać ją było na studia na Akademii Sztuk Pięknych, kupa rodzeństwa, bieda. Mój dziadek, a jej ojciec był kowalem artystycznym, gdyby dożył, w Polsce Ludowej nieźle by sobie radził. Teraz to chyba by go zameczono podatkami, bo obecni urzędnicy są bardzo sprawni, w odróżnieniu od dawnych. Matka w pewnym okresie też dobrze zarabiała, wykonując ręcznie malowane Madonny dla *Ars Christiany*. To zajęcie traktowane było przez ówczesne władze finansowe jako rzemiosło artystyczne, czyli wolne od podatku.

Przestała malować, gdy wprowadzono podatek.

Matka zbierała moje dziecięce rysunki lokomotyw, mimo, że powątpiewała w mój talent, bo od początku inaczej rysowałem i malowałem niż wszyscy. Mówiła „kto to kupi?” Ale jednak później sprzedawałem obrazy przez Desę Handlu Zagranicznego w Warszawie, miałem nawet kilka wystaw w Europie. Matka nie rozumiała, dlaczego ta dziwna sztuka ma mieć przyszłość. Cała rodzina uwielbiała Matejkę, a wybrzydzała na Picassa, lansowanego wtedy przez „Przekrój”, kiedy jeszcze oficjalnie trwał socjalistyczny realizm.

JSG: Jakie wartości przekazała Panu rodzina?

AF: Przede wszystkim wartości religijne. Chodziłem na nabożeństwa do pobliskiego kościoła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Bardzo żałowałem, że później łacinę zastąpiono językiem polskim. Łacina miała coś dla mnie z mistycyzmu i spirytualizmu. Kochałem Lubelski Cud w katedrze z płaczącą za komunistów Matką Bożą. Tak, lubię religię, ale bynajmniej nie jestem pobożny. Religię traktuję jako sprawę kulturową, właśnie te korzenie, o których mawiał nasz Papież, *nota bene* profesor KUL-u.

JSG: Proszę opowiedzieć o swoim debiucie literackim.

AF: Nieformalnie debiutowałem bardzo wcześnie. Wuj adwokat prowadził gościnny dom w Warszawie, ożeniony z autentyczną księżniczką, panią M. Miała mirtę książęcą w metryce i herb. Otóż tam napisałem pierwszy rymowany patriotyczny wierszyk o Polsce w niewoli, z optymistycznym zakończeniem, że „kraj ukochany wreszcie zrzuci kajdany”, co się stało. Czasy, prywatnie biorąc, były trochę mistyczne, wuj zasuwiał firanki i puszczał płytę „Czerwone Maki na Monte Cassino”. Była to zakazana melodia tak jak za Niemców: „Siekiera, motyka, piłka, szklanka”.

Prawdziwy mój debiut wiąże się ze snem. Pod naszym mieszkaniem lokatorskim w Lublinie była suterena, w której mieszkała samotna kobieta z siedmioma kotami. Polewałem je z góry, gdy wygrzewały się na słońcu. Otóż śniło mi się, że przez jej suterene przejeżdża pociąg parowy, taki, jakie wtedy jeździły. Opisałem sen, wydrukowali, dostałem 100 złotych honorarium. Pomyślałem, że to niezłe zajęcie być Panem Literatem, jak mówili milicjanci do pisarzy. Teraz czasy się zmieniły, trzeba samemu zapłacić, by coś opublikowali. Widocznie pisarze za mało walczyli o Nowe.

JSG: Czy są Państwo emigracją Solidarnościową?



Adam Fiala jako student
prawa na UMCS w
Lublinie, w latach 60., fot.
arch. rodzinne.

AF: Tak, jestem emigrantem epoki solidarnościowej, mimo że oficjalnie do związku nie należałem. Ale podobał mi się Wałęsa – brunet, przystojny, przypominał nieco Piłsudskiego, z poczuciem humoru, bo podpisywał dokumenty olbrzymim długopisem i lubił mieć Matkę Boską w klapie. Ja mam maleńki medalik Matki Boskiej z Niepokalanowa, wszyty w portfel, to mój talizman. Lubiłem też jego zwrot „w temacie”. Wyobrażałem go sobie jako

Konrada Wallenroda. Musiał wejść w system, by z nim walczyć. Stąd dla mnie te wszelkie rozważania: Bolek nie Bolek nie mają większego sensu. Nasz „Papa” też nie był przeciwnikiem systemu, był obojętny. W przeciwnym wypadku nigdy by nie został arcybiskupem, a potem papieżem. W wyniku porozumienia między rządem a kościołem, kościół wyznaczał kandydatów na wysokie stanowiska, ale rząd ich akceptował. A że Jan Paweł II był znakomitym dyplomatą, to już zupełnie inna sprawa...

JSG: Dlaczego wyjechali państwo tak daleko, aż do Australii i jakie były początki pobytu w obcym kulturowo świecie?

AF: To był los. Złożyliśmy podania do Stanów, Kanady, Australii i właśnie ten ostatni kraj nas zaakceptował, ale z pewną wyczuwalną niechęcią. Mimo, że Niemcy dawały mi azyl jako prześladowanemu członkowi rozwiązanego Związku Literatów Polskich, dla Australii było to obojętne, przyjęto nas ze względów humanitarnych oraz dlatego, że mieliśmy koneksje z „siostrą bratowej”. Mówiliśmy panu w Niemczech, który pomagał w pisaniu podań, że siostra bratowej to słaby argument, lecz on odpowiedział: „Ale siostra”. I miał rację. Siostra bratowej nie pojawiła się wprawdzie na lotnisku, a mimo to nie cofnięto nas do Niemiec. Mieszkaliśmy najpierw w Hostelu w Melbourne, a potem przenieśliśmy do prywatnych apartamentów w Perth. Bardzo mi się podobało słowo: apartamenty. Pisarz musi być

wrażliwy na słowa.

Było trochę ciężko, nowy, tak różny od europejskiego świat, no i z zimy w zimę, bo wylądowaliśmy w Melbourne, które ma klimat „cztery pory roku w jednym dniu” akurat w czerwcu. Kocham słońce i tego mi brakowało. W Perth otrzymałem go z nawiązką, co skończyło się rakiem skóry. Ale nie przejmowałem się, bo „co ma wisieć nie utonie”.

JSG: Proszę opowiedzieć o życiu artysty w Australii.

AF: W Australii, wyznającej zasadę multikulturalizmu, życie artystyczne było dość skomplikowane. Wielokulturowość w praktyce oznaczała, że powinien się udać do swojego kulturowego środowiska czyli Polonii w Perth, która była jakaś niełaskawa i do tej pory taka pozostaje. Krążył dowcip, że i Picassa by skierowano jako „etnika” do grupy Latino. Brałem udział w licznych wystawach, ale zrezygnowałem, bo bardzo trudno było się przebić. Polska grupa była modna w okresie Solidarności, ale gdy w Polsce zmienił się system jakoś o niej w Australii zapomniano. Nie biorąc pod uwagę, że emigracja z Polski była zawsze dynamiczna, w myśl zasady „Polak potrafi”.

Polak miał także duże zdolności do improwizowania. Ale nie słyszałem by w Australii jakiś polski pisarz czy artysta się wybił kulturowo na same szczyty, choć wiem, że na przykład pani dr

Teresa Podemska, poetka i literaturoznawca, włożyła w porównaniu ze mną, dość leniwym, ogrom wysiłku studiując i studiując. Mnie już się nie chciało powtarzać kursu prawa. Zresztą do tego potrzeba doskonałej znajomości języka, ja do tej pory mam kłopoty ze *spelingiem* i prawidłową gramatyką, choć i owszem piszę teksty piosenek dla siebie w języku angielskim czy australijskim.

Sztuka w Australii jest bardzo zbiurokratyzowana. Tutaj to kochają. Wystawy praktycznie, poza wyłożeniem sporych kosztów, dają to, że nadal tkwi się w punkcie jeden. Ale jeżeli ktoś kocha tworzenie, tak jak ja, to go to mało obchodzi. Kocham sam proces pisania, malowania czy muzykowania. Medale, nagrody, osiągnięcia, są dla mnie wtórne. Zresztą kiedy byłem aktywnym klientem opieki socjalnej zauważyłem, że oni bardzo nie lubili *artu*, więc o tym już nie wspominałem. Co lubili? Nie wiem. Może kucharzenie i malowanie ścian. Teraz jestem pełen podziwu dla tak zwanych artystów ulicznych zdobiących mury. To ciężkie i niebezpieczne dla zdrowia zajęcie.



Adam Fiala na wycieczce w Sydney.

JSG: Jak Australia odbiła się w Pana twórczości?

AF: Australia okazała się znakomitym źródłem wszelkich pomysłów, zwłaszcza, że czułem się artystą podziemnym i niezależnym. Robiłem to, co sam chciałem, co mi bardzo odpowiadało bowiem jestem naturalnym samoukiem. Obserwuję pilnie innych, ale przede wszystkim lubię własne przemyślenia i koncepcje. Gdy byłem w Polsce fascynował mnie absurd i szarość życia. Tutaj było kolorowo, ale zawsze trochę absurdu można było z powodzeniem znaleźć. Gdybym traktował Australię jako

ład przysłowiowych „Saksów”, dawno bym stąd odleciał. Wielu znajomych to zresztą zrobiło...

JSG: Jakie ma Pan doświadczenia z australijskim środowiskiem polonijnym?

AF: Polonia marudziła na nas, że nie mamy stałej pracy (literaturę i sztukę uważano za hobby). Ciągłe to słyszeliśmy. Nawet u lekarki, u której zacząłem się w końcu leczyć na depresję. Problem był w tym, że nikt z naszej trójki nie mógł znaleźć stałej pracy. Jedynie syn Andrzej przez pewien czas pracował w instytucji opiekującej się seniorami i to za pół darmo. Stara Polonia podobno ciężko fizycznie pracowała, nawet przy karczowaniu drzew, to był warunek jej przyjęcia po wojnie, gdy w Polsce zapanował komunizm. Ciągłe więc słyszeliśmy, że żyjemy na koszt podatnika i najgłośniej o tym mówiła właśnie Polonia, a nie kulturalni i dyskretni Australijczycy, traktujący każdego po imieniu, bez tego: „Pan wie, kim ja jestem?”

Niektórzy moi lubelscy znajomi mawiali, że pod płaszczykiem wesołkowatości ukrywam depresję. Mieli rację. Depresja jest najpowszechniejszą chorobą XXI wieku. Nowością dla mnie było to, że dowiedziałem się, iż nawet ludzie sukcesu jak Churchill (pomijając jego politykę, dostał Nobla literackiego) mieli *black dog* czyli głęboką depresję. Ja miałem depresję z powodów rodzinnych. Ojciec: dyrektor, adwokat, radca prawny, był

prymitywnym domowym tyranem. Ale nie uciekałem w alkohol czy środki farmakologiczne (o narkotykach wtedy nie mówiono nawet). Uciekałem w przyrodę, na pobliskie pola, na zmarznięte zimą grudy. Do Starego Lasu. To było moje najlepsze i najskuteczniejsze lekarstwo.

Gdy znalazłem się w Australii depresja powróciła. Na emigracji mogłem jedynie jeździć na taksówce. Jakaś siostra zakonna w Melbourne doradzała mi bym został motorniczym tramwaju. Jednak byłem marnym kierowcą ze słabą orientacją w ulicach. W Warszawie z tego powodu oblałem prawo jazdy. Egzaminator na pudełku papierosów napisał „Orient”. Brzmiało to filozoficznie, ale chodziło o moją orientację w terenie. Powiedzieli, że nigdy nie powinienem zasiadać za kółkiem. Nawiasem mówiąc tego egzaminatora spotkałem później w Ustce, kiedy dojechaliśmy tam wraz z żoną Anną i synem Andrzejem, naszym groszkowym fiacikiem, którego później trzeba było zamienić na paszport.



JSG: Od czasu debiutu literackiego, jak wygląda Pana przygoda z piórem?

AF: Jako azylant w Niemieckiej Republice Federalnej odczuwałem chwile euforii, z zapałem rozpocząłem pisanie mojej „Odnowy”. Myślałem, że na nią będzie zapotrzebowanie w Wolnym Świecie. Posłałem do *Polish Book Fund* w Londynie. Nawet się początkowo podobała. Ale potem zażądali dużych skrótów, następnie okazało się, że zebrali pieniądze, ale muszą wydać rzecz o księdzu Popiełuszce, więc moje odpadła. W końcu odmówili zwrotu maszynopisu, mimo mojej licznej korespondencji. Więc już początki z moją twórczością w Wolnym Świecie były pechowe.

W Australii twórczość traktowałem jako rodzaj pracy, wykonywanej systematycznie w godzinach rannych, mając świeży i kreatywny umysł. Pisałem i rysowałem bardzo dużo dla dzieci. Miałem już pewne doświadczenie w tej dziedzinie. Lubelskie Wydawnictwo opublikowało moją „Podróż Tomka na dwie Planety”. W Polsce znajomy literat Zbigniew Fronczek umożliwił mi opublikowanie „Prywatnej Australii”. A potem zaczępiłem się jako grafik i autor w krakowskiej „Miniaturze”. I na tym był koniec. Pojawił się mur nie do przebycia. Wynajęliśmy nawet lokalną anglistkę-poetkę w Perth, żeby wygładzała mój język, bo Andrzej twierdził, że używam polskiej składni i

angielskich słów. Też miałem zerowe rezultaty. Depresja się pogłębiała. I znowu z niej musiałem wyjść, tym razem nie na pola i lasy, ale na piękne plaże Perth. Są czyste, nie zatłoczone i ciągną się prawie w nieskończoność.

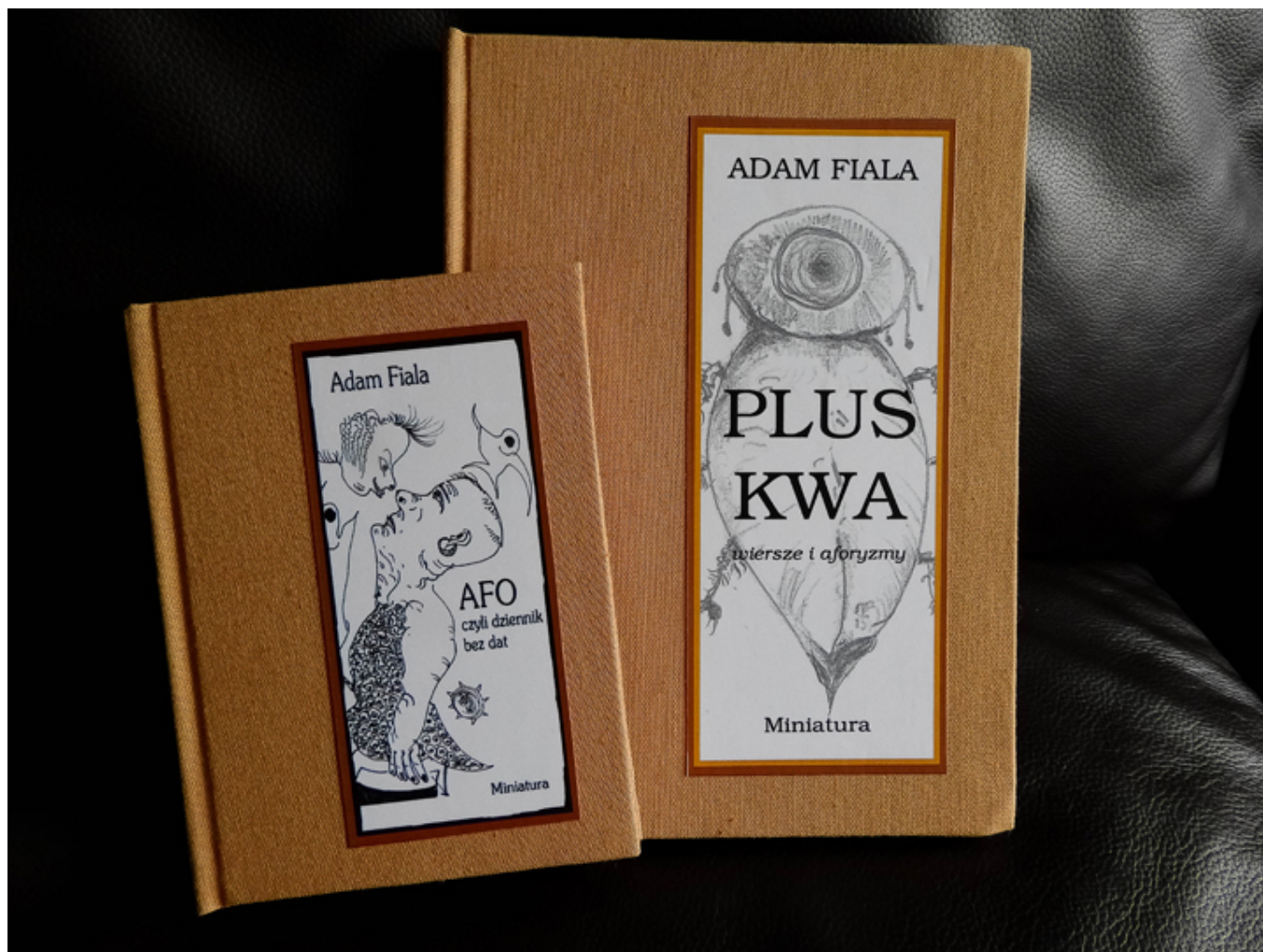
Oglądałem ostatnio słynną *Bondi Beach* w Sydney. Owszem, piękna, ale to tylko podkowa. W Perth możesz iść, iść, iść. Prawie w wieczność wyimaginowaną. Depresję leczyłem także u polskiej lekarki doktor K. Była to kobieta sukcesu. Jedna z niewielu z nowej postsolidarnościowej emigracji, która pracowała w swoim zawodzie. Była też niezłym psychologiem, często załamywała nade mną ręce, ale pomagała wystawiając zaświadczenia, dzięki którym trwałem. Dla profesorów i intelektualistów naturalnym rozwiązaniem jest na emigracji nie taksówka, ale dalsze studiowanie nawet w podeszłym wieku.

JSG: Jakie jest Pana podejście do życia?

AF: Z natury jestem samotnikiem i indywidualistą, a także naturalnym samoukiem. Moim wzorem w młodości był Van Gogh, który się sam nauczył malarstwa. Ponoć rozbijał gipsowe figury, które mu polecono kopiować, dlatego niczego formalnego ze sztuki nie dokończył. Zresztą chciał być pastorem, ale znalazł poważną rozbieżność między mistycyzmem, a praktycznym życiem kościoła. Mnie właśnie w religii pociąga spirytualizm i mistycyzm, którego obecnie kompletnie brak. Ba, nawet jest

przez autorytety niemile widziany.

W moim życiu uspokojenie nastąpiło dopiero wtedy, gdy oficjalnie dostałem australijską emeryturę, dzięki czemu mogłem skupić się tylko na mojej twórczości. Systematyczna działalność rankami spowodowała, że nagromadziłem potężne *body of work* zarówno w sztuce jak i literaturze. Nie wspominając już o tym, że napisałem i skomponowałem około 300 piosenek. Dostałem za nie kilka razy nagrody na konkursach w Sydney poświęconym Strzeleckiemu i Kościuszce. Dużo też pomaga mi gra na australijskim *didgeridoo*, ponieważ lubię Kulturę Aborygenów. Sam się nawet poniekąd uważam za Polskiego Aborygena w Australii...



JSG: Uprawia Pan różne dziedziny - rysunek, malarstwo, poezję, a także muzykę. Czy te dziedziny się dopełniają? Buduje Pan pomiędzy nimi mosty?

AF: Głównym mostem w mojej twórczości jest humor i satyra. W Polsce ze względu na pisanie obyczajowe połączone z humorem, porównywano mnie z Dickensem, którego bardzo lubiłem. Potem polubiłem Franza Kafkę.

Początkowo zakładałem (przylatując znałem już trochę angielski, nawet czytałem Steinbecka w oryginale), że mój poziom języka

tak się rozwinie, że bez trudu będę pisać poczytne powieści, wreszcie zarabiając na siebie i rodzinę. Tak się niestety nie stało. Poza tym rodzina się rozpadła. Po czasie wróciłem do Anny, ale już nie jako mąż, ale po prostu przyjaciel, współpracujący z nią w dziedzinie sztuki. Anna ma znakomite oko fotografa, malowała piękne, bardzo wysmakowane obrazy, tkła też gobeliny. Miała dużo więcej wystaw niż ja, choć też nie zrobiła tzw. kariery.

W międzyczasie dowiedziałem się, że żywot pisarza w wolnym, pozostawionym kraju, też stał się pod każdym względem trudny, więc nie żałowałem tej ucieczki, bo tak to można by nazwać. Jechaliśmy niby na leczenie syna do Francji, wysiedliśmy z pociągu we Frankfurcie nad Menem i tak dalej, i tak dalej toczyło się to nasze życie...

JSG: Co Pana fascynuje w otaczającym świecie i czym się Pan inspirował w swojej twórczości?



Adam Fiala w Domu
Polskim w Bedford.

AF: Lubię zjawiska nadprzyrodzone i niewytłumaczalne. Spirytualizm znalazłem w bardzo dynamicznej sztuce Aborygenów, której jestem entuzjastą. Ich *dreamtime* stał się moim *dreamtimem*. Nauczyłem się gry na *didgeridoo*, która ma właśnie spirytualne brzmienie, prawie dosłownie. Potrafię grać na tym instrumencie kwadrans bez żadnej przerwy. Ich malarstwo przypomina mi pewne okresy twórczości ulubionego przeze mnie Picassa. Pamiętam z Polski dowcip, ławki malowano w „stylu Pikas”, tak było w oficjalnych cennikach.

Aborygeni z drugiej strony są bardzo pamiętliwi, ciągle wspominają krzywdy wyrządzone im przez białych. Ja mam inną naturę. Po jakimś czasie nawet do wrogów nie żywię urazy. W Polsce studiowałem na KUL-u za wstawiennictwem wujka księdza, którego lubiłem, ale nie zgadzałem się z pewnymi doktrynami, a zwłaszcza z celibatem. Najpierw byłem na historii sztuki, a potem po prawie, na psychologii w ramach tak zwanej filozofii chrześcijańskiej. Lubiałem KUL, bo na jego terenie czułem się jak w innym państwie. Studenci KUL-u nie mieli obowiązku uczestniczenia w zajęciach na studium wojskowym (moje małe udręki), a także KUL nigdy nie brał udziału w manifestacjach pierwszomajowych. Trudno było nie lubić tego święta, bo zawsze świeciło w tym dniu słońce. Jako studenci byliśmy politycznie obojętni, nikt ze znajomych nie słuchał „Wolnej Europy”, zresztą bardzo zagłuszanej. Cieszyliśmy się, że mamy studia za darmo i bardzo tanie książki. No i było mnóstwo rajdów turystycznych, czy biesiad literackich.

JSG: Na jakie etapy podzieliłby Pan swoją twórczość?

AF: W twórczości widzę etap fascynacji i etap dojrzewania czyli przemyśleń. Ale też lubię kompletną spontaniczność, działanie podświadomości i wyciąganie pomysłów, jak królika z przysłowiowego kapelusza. Fascynacje znajdowałem w Polsce w pięknym słonecznym lubelskim lecie oraz mroźnej i też słonecznej zimie. Gdy wyemigrowałem do Warszawy (pierwsza

emigracja) już tego słońca nie było. Większość pochmurnych dni na Równinie Mazowieckiej. Perth w Zachodniej Australii ma idealny klimat, minimalna ilość burz i najwięcej słońca z całej Australii. A także czyste, nie zatłoczone plaże i piękny Ocean Indyjski. Czego więcej potrzeba człowiekowi? Domów, sportowych samochodów? Mam dwa rowery i dzięki nim dobre zdrowie. Mieszkam niedaleko plaży.

W Polsce czytałem „Żywot człowieka poczciwego”, ja swój mogę nazwać „Żywotem człowieka szczęśliwego”. Ale też znam osoby z Polski nie znoszące Australii, każdy ma prawo do własnego punktu widzenia.

JSG: Różne Pana pola twórczości, zarówno te literackie, jak i wizualne łączy jedno - przedstawia Pan wewnętrzne demony tkwiące w człowieku za pomocą symboli i znacznej deformacji rzeczywistości. Czy taka jest Pana intencja?

AF: Tak, kocham symbole i znaki. Złapałem to od Aborygenów. Stąd także fascynacja sztuką japońską i chińską, potrafię pisać haiku, mam w swym prywatnym zbiorze kilkaset sztuk haiku. Lubię też naśladować ich pismo, podobnie jak mimiczne gesty osób głuchych. Z tym drugim to trzeba uważać bo nazywają to złośliwą parodią i od razu oskarżają o rasizm czy podobne dyskryminacje. Wewnętrzna cenzura obecnie wyznacza granice humoru. I honoru. Ale oficjalna też jest, zwłaszcza obyczajowa.

Australijczycy mają bardzo ubogi zakres przekleństw. Właściwie tylko jedno słowo na „f”. Polacy i Hiszpanie w tej dziedzinie mają więcej pomysłowości...

JSG: Czy Pan się uważa za artystę figuratywnego, spirytualistycznego czy surrealistycznego?

AF: Jestem półfiguralny, półabstrakcyjny i półspirytualny. Kocham duchy i zjawiska nadprzyrodzone i fascynują mnie morderstwa, których nie można wykryć mimo kolosalnych nakładów. Napisałem nowelę o zaginionym samolocie w Oceanie Indyjskim do tej pory nie odnalezionym. Napisałem też o samolocie zestrzelonym nad Ukrainą. Oczywiście fantazje. Obie sprawy są nadal nie wyjaśnione. Dlaczego to napisałem? No, dla własnej przyjemności i satysfakcji, kto by się beznadziejnie prosił w australijskich wydawnictwach? Szkoda i czasu i stresu, który zawsze towarzyszy tego typu działaniom. Lubię, że nie wszystko trzeba odkrywać i najlepiej niech pozostaje tajemnicą.



Adam Fiala zimą w parku w okolicach Perth w Australii.

JSG: Gdyby miał Pan możliwość rozpocząć swoją karierę zawodową od początku, i wiedział by Pan o sobie, to, co wie Pan teraz, poszedłby Pan tą samą drogą?

AF: Najprawdopodobniej wylądowałbym, gdyby się cofnął czas, nie na prawie, ale w Wyższej Szkole Teatralnej. Fascynował mnie polski komik Adolf Dymsza, miałem naturalne zadatki komika, rozśmieszałem klasę ku utrapieniu nauczycieli i w konsekwencji ciągle wzywanej matki. Na akademiach szkolnych recytowałem wiersze, nie, nie o Stalinie tylko satyry o bikiniarzach, to coś w rodzaju *punków* obecnego czasu. Bikiniarze mieli spodnie wąziutkie jak rurki i olbrzymie samodziałowe marynary. A także lekceważyli socjalistyczną, żelazną dyscyplinę pracy. Był taki wierszyk: „Bikiniarze to są ludzie tacy” i tak dalej łatwo

dośpiewać do rymu. Ułożyłem też kiedyś wierszyk o KUL-u. Tam była słynna impreza na cały Lublin: doroczny, jesienny bal na KUL-u, zwany Eutrapelią. Dokładnie nie wiedziałem co to znaczy, ale podobała mi się nazwa. Ułożyłem taki wierszyk:

Eutrapelija, twista wywija,

ksiądz rektor z nami, fika z KULwami.

Z tym że KULwy to były po prostu studentki KUL-u, a nic więcej.

Głównym problemem każdego pisarza czy artysty jest potrzeba zarabiania na życie. Teraz, gdy mam już 77 lat i dobre zdrowie mam to z głowy, poza tym mam dwie emerytury, australijską i polską. Więcej grzechów w tej dziedzinie nie pamiętam, a te które pamiętam niech mi będą odpuszczone...

Adam Fiala na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/>

Inne artykuły:

http://www.zrobtosam.com/PulsPol/Puls3/index.php?sekcja=4&arty_id=14744

<https://australink.pl/slawa-chwala-polonii-australijskiej--czyli-o-adamie-fiali/>

Galeria prac Adama Fiali ukáže się na Culture Avenue w śróde 22 listopada 2017 r.

Institut Le Rosey w oczach Polaków

Korespondencja ze Szwajcarii



Le Rosey, Concert Hall, fot. Beata Jaquet.

Beata Jaquet

W Szwajcarii mieszkam od ćwierćwiecza. Jako świeżo upieczona absolwentka iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego postanowiłam na tym nie poprzestać i zaraz po przyjeździe nad Jezioro Lemańskie zapisałam się na anglistykę w Lozannie. Z zainteresowania, a także z przymusu, ponieważ w moim nowym kraju niezbędne były dwa kierunki do nostryfikacji dyplomu. Pewnego dnia mój mąż pokazał mi niecodzienne ogłoszenie opublikowane w lokalnej gazecie: *Institut Le Rosey, międzynarodowa szkoła z internatem, szuka nauczyciela języka polskiego*. Pomyślałam, że to żart, ale mój mąż nalegał „to idealne dla Ciebie!” Z ciekawości przygotowałam mój życiorys i udałam się na rozmowę kwalifikacyjną, po angielsku. Po kilku dniach na mojej automatycznej sekretarce odsłuchiwałam

następującą wiadomość: *This is profesor Higgins speaking, from Le Rosey. I am pleased to inform you that you got the job.* Poczułam się jak Eliza Doolittle z *My Fair Lady*... I natychmiast zabrałam się do odświeżania moich wiadomości z literatury ojczystej. W końcu byłam laureatką Olimpiady Języka Polskiego w liceum i stałam przed wyzwaniem nie do odrzucenia.

I tak uczę języka i literatury polskiej w *Le Rosey* od prawie dwudziestu lat. Co lata w moich wakacyjnych walizkach podróżują podręczniki (ach te reformy szkolnictwa...), antologie, tomiki poezji, filmy i ilustrowane magazyny. W tym roku w moim bagażu znalazły się gadżety *Wiedźmina*, włącznie z nieodzownym wilczym medalionem, niezbędne do inscenizacji na pierwszą edycję szkolnego Festiwalu Międzynarodowej Książki. Widząc entuzjazm moich uczniów, zaproponowałam im napisanie kilku słów na portal Culture Avenue. Rezultaty są widoczne poniżej.

Tym, którzy zastanawiają się, co się stało z moim hiszpańskim, odpowiadam anatomicznie: odkryłam, że moje serce — a dokładniej mówiąc „moje literackie serce” — ma trzy części („trzy komory”?) Pierwsza należy do Polski (pewnie do Mrożka, którego miałam okazję spotkać w Szwajcarii dzięki Pani Verze Michalski z wydawnictwa *Noir sur Blanc*), druga do Gabo Garcii Marqueza (kiedy pisałam o nim pracę magisterską, wiedziałam, że dostanie Nobla!), a trzecia do... Willa Szekspira.

Zanim oddam głos moim uczniom jeszcze wyjaśnię, jak się zostaje uczniem *Le Rosey*. Rekrutacja odbywa się na podstawie konkursu świadectw. Najlepiej, aby kandydaci mogli się wykazać wszechstronnym profilem: zarówno zainteresowaniami akademickimi, jak i sportowymi i artystycznymi. Wymagana jest również dobra znajomość języka angielskiego (lub francuskiego w sekcji *Bac Français*), aby adaptacja przebiegła jak najszybciej. Po pierwszej selekcji kandydaci zostają zaproszeni do odwiedzenia szkoły. Podczas wizyty odbywa się pisemny egzamin wstępny oraz rozmowy kwalifikacyjne. Pomimo wysokich wymagań rekrutacyjnych i finansowych, o miejsce w *Le Rosey* corocznie ubiega się około 400 kandydatów, a przyjmowanych jest między 80 a 90. Aby instytucja zachowała charakter międzynarodowy, praktykowany jest *numerus clausus* narodowościowy (nie więcej niż 10 procent każdej narodowości).



Institut Le Rosey w Rolle, fot. Beata Jaquet.

Antoni Bandachowicz, Jan Bandachowicz, Wiktor Marcinkiewicz

Instytut *Le Rosey* to międzynarodowa szkoła prywatna z internatem, w której uczniowie przygotowują się do IB (Matury Międzynarodowej) lub do Baccalauréat Français. W skrócie:

- dwie lokalizacje (główna siedziba w Rolle nad Jeziorem Lemańskim oraz rezydencja zimowa w Gstaad, znanym alpejskim resorcie narciarskim);
- 420 uczniów (chłopców i dziewcząt) z czterech stron świat, mieszkających w internacie;
- 137 lat tradycji i wielu sławnych absolwentów, między nimi bracia Pahlavi, królowie Belgii Baudouin i Albert II, księżę

Monaco Rainier III; John Casablancas, założyciel agencji modelak Elite i jego syn, piosenkarz francuski Joe Dassin, Sean Lennon, syn Johna, czy Nelson Monfort, popularny francuski dziennikarz sportowy;

— zgodnie z łacińską maksymą „W zdrowym ciele zdrowy duch” program obejmuje lekcje przedmiotów głównych i fakultatywnych, zajęcia sportowe (m.in. sporty wodne i zimowe), a także bogaty program kulturalny. Oferta kulturalna znacznie się powiększyła trzy lata temu, kiedy na terenie rezydencji w Rolle powstała futurystyczna sala koncertowa na 900 miejsc — *Le Rosey Concert Hall*— i szkoła zaczęła regularnie gościć najbardziej renomowane orkiestry świata, jak Berliner Philharmoniker (z Gustavo Dudamel) czy też Royal Philharmonic Orchestra pod dyрекcją Charlesa Dutoit, już trzykrotnie, a w tym roku z Marthą Argerich przy fortepianie). W *Le Rosey* odbywają się również międzynarodowe wydarzenia, jak konferencje TEDex, a od ubiegłego sezonu także letni festiwal teatralny w plenerze.



Przygotowania do koncertu, fot. Beata Jaquet.

O atmosferze szkoły piszą polscy uczniowie?

„Skąd ty jesteś? Z Polski? Ah! Dlatego masz takie dziwne imię...”
Do dziś słyszę to zdanie od uczniów z *Le Rosey*, których poznaję. Zazwyczaj pytania różnią się zależnie od tego, skąd pochodzi dana osoba. Azjaci większość czasu pytają „Więc gdzie się znajduje ta Polska na mapie?” Amerykanin z reguły pyta „Wiem, że Polska jest naszym sojusznikiem, ale słyszałem, że macie problemy z demokracją, czy naprawdę jest tak źle? Nie mogę wyobrazić sobie kraju, który nie pozwala na aborcję”.

Czasami Włosi rozmawiają o Papieżu. „Jaki on był mądry! Najlepszy papież z nich wszystkich”.

Najczęściej to Rosjanin zaczyna rozmowę o historii, próbując

przekonać wszystkich, że Polacy nie potrafią walczyć. „Przecież wystarczy spojrzeć na XIX wiek w historii Polski... No tak, przecież nie istniała”, wtedy przypominam ludziom o opanowaniu Moskwy przez Polskę w 1610 roku...

Nawet pan od wf-u zaczął rozmawiać o Polsce, a w zasadzie o jednym z najbardziej znanych sportowców na świecie. „Polska drużyna narodowa w piłce nożnej jest doskonała w tym roku!

Lewandowski został królem strzelców w eliminacjach do Mundialu, i ten drugi... Jak mu tam? Blastykowski? To dopiero piłkarze!”

Właściwie każdy chce poznać lepiej Polskę i kulturę polską. Niektórzy próbują się dowiedzieć czegoś o kuchni (pierogi, żurek), albo o historii Polski. A ja za każdym razem chętnie wszystko tłumaczę.

Antoni, uczeń klasy 1



Zimowa rezydencja w Gstaad, fot. Beata Jaquet.

Jak to jest być Polakiem w *Le Rosey*?

Le Rosey jest często uznawana za najdroższą i najbardziej prestiżową szkołę z internatem w Europie, a nawet na świecie. Stworzona w 1880 roku, szkoła znajduje się 30 minut od Genewy, obok małego miasta, o nazwie Rolle. Uczniowie mają tu dostęp do różnych kompleksów sportowych, mogą się uczyć wielu różnych języków, mają nawet możliwość uczestniczenia w największych wydarzeniach kulturalnych, gdyż na terenie szkoły

znajduje się jedna z najpiękniejszych sal koncertowych Szwajcarii. Do *Le Rosey* przyjeżdżają uczyć się dzieci i młodzież ze wszystkich zakątków świata, z różnych kultur mówią różnymi językami. W *Le Rosey* uczniowie z polskim obywatelstwem zdarzają się dość rzadko. Jeżeli już spotkasz tu Polaka, to często okazuje się, że rodzina przez długi czas mieszkała zagranicą, albo jeden z rodziców jest innej narodowości.

Po pierwsze, prawie nikt nie mówi tu po polsku (oprócz nauczyciela języka polskiego). Oznacza to, że młodzież, która tu przyjeżdża musi płynnie porozumiewać się w języku angielskim lub francuskim. Zatem jest to prawie pewne, że po ukończeniu tej szkoły jesteś biegły przynajmniej w trzech językach.

Szkoła oprócz przedmiotów akademickich oferuje cały wachlarz propozycji z dziedziny sztuki, muzyki i sportu. Łączy więc ze sobą to, co oferują w Polsce szkoły muzyczne i sportowe.

Po drugie, Polska dla wielu uczniów, ale też dla sporej grupy nauczycieli, jest krajem „egzotycznym”. Polska przez wiele lat nie była celem turystycznym, dlatego nasza historia, kultura i obyczaje nie są znane w świecie, a nawet Europejczycy słabo znają Polskę i ciągle wyobrażają ją sobie jako kraj zacofany, a mało kto zna ponad tysiącletnią polską tradycję. Ci, którzy odwiedzają nasz kraj, na ogół są bardzo pozytywnie zaskoczeni. W *Le Rosey* koledzy są zaciekawieni i często szukają informacji o

Polsce w internecie, żeby nas Polaków zaskoczyć, albo o coś spytać. Interesuje ich co jemy, jakie są nasze dania narodowe. Gdy wysyłam zdjęcia z Warszawy lub innych miejsc, bardzo się to kolegom podoba. Nowoczesne budynki robią wrażenie, a budynki stare zadziwiają pięknem i wysoką dbałością o ich utrzymanie. (Myślę, że jakbym zadał pytanie, kto chciałby pojechać do Polski, zgłosiliby się wszyscy koledzy).

W szkołach międzynarodowych polscy uczniowie są uważani za studentów pracowitych. Myślę, że podobną opinię mają uczniowie w *Le Rosey*. Wydaje mi się, że Polacy starający się o przyjęcie do tej szkoły mają spore szanse. Podobnie w przypadku kandydowania na dobre zagraniczne uniwersytety.

Czasami jednak widzę ujemne strony bycia Polakiem. *Le Rosey* jest szkołą z internatem i to znaczy, że dzieci z całego świata żyją i mieszkają razem ze sobą. Jeżeli nie masz brata lub siostry, którzy mówią w tym samym języku ojczystym, czujesz się czasami obco. Brakuje ci bratniej duszy. Z mojego osobistego doświadczenia widzę jak koledzy, którzy pochodzą z tego samego kraju, żartują i mówią o sprawach, które tylko oni znają i rozumieją.

Le Rosey jest bardzo nowym doświadczeniem i przeżyciem dla uczniów, którzy są Polakami. Myślę jednak, że nasza narodowa zdolność do adaptacji pozwala nam się odnaleźć również w *Le*

Rosey. Umiejętność szybkiego uczenia się języków i znajomość sytuacji na świecie ułatwia nam nawiązywanie kontaktów czy zawieranie przyjaźni. Pozwala nam szukać wspólnych wartości, które łączą ludzi z całego świata.

Jan, uczeń klasy 1

Teatr jest jednym z najważniejszych aspektów programu naszej szkoły. Co roku przygotowujemy dwa przedstawienia teatralne: jedno w języku francuskim, a drugie w języku angielskim. Są to zazwyczaj znane i ambitne teksty, które staramy się przedstawić w nowym świetle. Nasze przedstawienia różnią się od tych, jakie pamiętam ze szkoły podstawowej w Polsce. Zbliżają się do profesjonalnych produkcji: prawdziwa scena, efekty specjalne, kostiumy oraz publiczność licząca prawie 900 osób. W ostatnich dwóch latach na deskach teatru *Le Rosey* wystawiono m.in. *Bal złodziei* Jeana Anouilh, *Sen nocy letniej* Szekspira, *Un miracle ordinaire* Evgueni Schwartza oraz *The Rover* Aphry Behn.

Uczniowie aspirujący do pracy w teatrze lub w filmie spędzają kilkanaście godzin tygodniowo na samych próbach. Ponadto do dyspozycji mamy najróżniejsze warsztaty oraz *masterclasses* ze znanymi dramaturgami. Ostatnio mieliśmy szansę pracować z Julianem Boalem, synem Augusto Boala- twórcy Teatru Forum. Mamy również możliwość uczestniczenia w wycieczkach teatralnych do Londynu i do miasta Szekspira, Stratford-upon-Avon. Jest to zapewne najprzyjemniejsza i najbardziej kształcąca

część naszej bogatej teatralnej edukacji. I oczywiście, na naszych lekcjach języka polskiego często pojawia się Mrozek. Jego utwory sceniczne są dobre na każdą okazję i idealnie dostosowane do małej liczby aktorów.

Wiktor, uczeń klasy 1



Uczniowie przy pracy nad „Wiedźminem” Andrzeja Sapkowskiego, fot. Beata Jaquet.

Pierwsza edycja Bookfête

Był to piękny, słoneczny dzień w *Le Rosey*. Kompletna cisza panowała na boiskach i w klasach. Słyszeć było tylko śpiew ptaków i daleki głos silnika traktora w polu. Co się stało? Gdzie była młodzież?

W piątek 28 września bieżącego roku, w *Institut Le Rosey* miało miejsce wielkie wydarzenie. Uczniowie oraz nauczyciele zorganizowali pierwszy Festiwal Książki. Był to festiwal bardzo szczególny, ponieważ wszystkie działy języków obcych w *Le Rosey* (a jest ich ponad 30) zaprezentowały literaturę w swoich własnych językach.

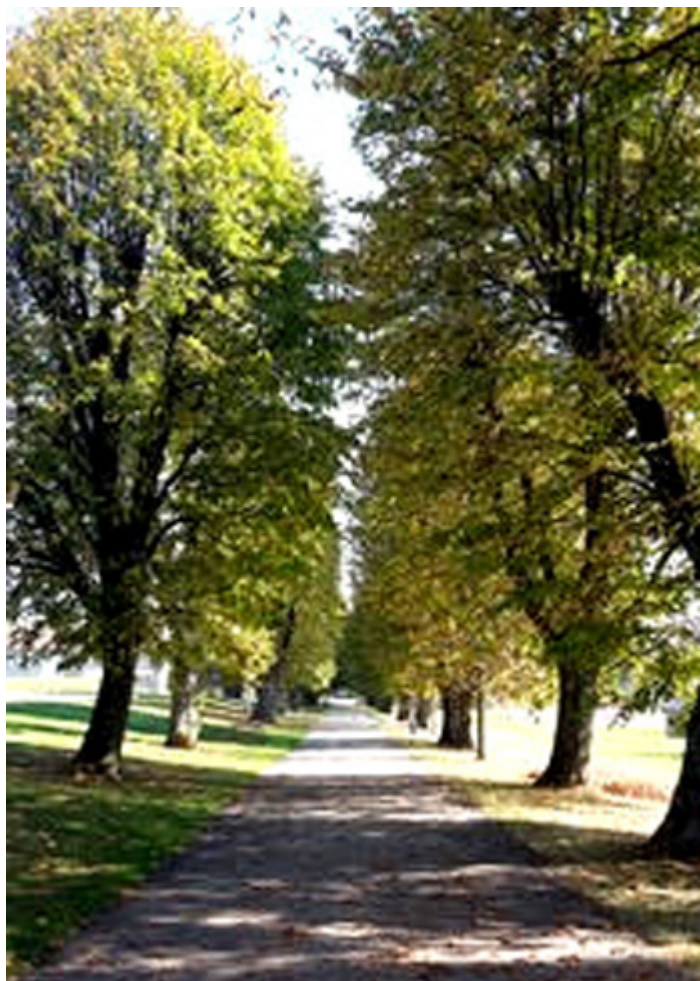
Dzień zaczął się interesującym wywiadem z trzema pisarzami: angielskim autorem literatury podróżniczej Diccon Bewes, z Tanią Crasnianski — adwokatem z wykształcenia — autorką książki *Dzieci hitlerowców* oraz z Pettiną Gappah, prawniczką i pisarką afrykańską, która kreśli krytyczny portret społeczeństwa Zimbabwe po angielsku i w jej ojczystym języku *shona*. Rozmawiali i opowiadali o tym, jak znajdują inspiracje oraz jak współpracują ze swoimi wydawcami.

Pośród zaproszonych gości znaleźli się dziennikarze ze znanych na całym świecie gazet, jak na przykład francuski „Le Figaro”. Reporter François Hauter napisał wiele artykułów na temat wojny i podróżował do miejsc, gdzie się ona toczyła.

Uczniowie przygotowali wiele ciekawych warsztatów. Były prezentacje na temat literatury i książek: przykładowe tematy to czy *Manga jest sztuką*, *poezja perska*, *Gra o tron* — z kart książki *na ekran*, włoskie publikacje na temat mody, *Elena Ferrante*, *Diary of a Wimpy Kid*, literatura o tematyce marynistycznej,

sztuka recytacji oraz wiele innych. Ponadto zaprezentowane zostały krótkie filmy na temat książek. Jedną z najbardziej interesujących okazała się prezentacja historyczna na temat różnych rewolucji w Europie. Grupa uczniów najpierw przedstawiła przemówienie Lenina (z rewolucji październikowej) i Robespierre'a (z rewolucji francuskiej), a następnie pokazała, że historia lubi się powtarzać.

Naszym udziałem było zaprezentowanie współczesnego bestsellera polskiej literatury, *Wiedźmina* Andrzeja Sapkowskiego. Jest to seria książek z gatunku *fantasy*, a jej popularność jeszcze wzrosła dzięki grze komputerowej o tym samym tytule. Przedstawiliśmy świat *Wiedźmina* i jego związki z mitologią słowiańską. Zaproponowaliśmy również inscenizację fragmentu pierwszego opowiadania z tomu „Ostatnie życzenie”. Jako że wielu uczniów interesuje się ekonomią, przeanalizowaliśmy sukces komercyjny *Wiedźmina*, informując w konkluzji, że serial oparty na książkach Sapkowskiego zostanie wkrótce zrealizowany przez internetową spółkę produkcyjną Netflix. Praca nad tą prezentacją sprawiła nam wielką radość.



Aleja kasztanowa, fot. Beata Jaquet.



Międzynarodowy bufet, fot. Beata Jaquet.

Po dyskusji nadszedł czas na obiad, a ponieważ pogoda dopisała, wszyscy jedli w ogrodzie szkoły posiłek przygotowany przez znakomitą ekipę szkolnej stołówki, która w ważnych dla szkoły dniach (jak np. zakończenie roku) potrafi zadowolić podniebienie niemal dwóch tysięcy biesiadników (bo tyle osób „zbierze się”, jeśli policzyć uczniów z rodzinami oraz nauczycieli, a także zaproszonych gości).

Ostatnim wydarzeniem była intensywna debata między „czarnymi charakterami” z literatury, takimi jak szekspirowscy Lady Macbeth czy Iago, a nawet baśniowa Baba Jaga.

Przeciwnicy użyli w słownej szermierce ciekawych argumentów.

Podsumowując, pierwsza edycja Festiwalu Książki była bardzo interesującym wydarzeniem literackim o wymiarze międzynarodowym. Dzięki nim mogliśmy poznać kluczowe pozycje literatury z krajów naszych kolegów. Dzielenie się bogactwem kulturalnym naszych rodzinnych stron jednym z najważniejszych komponentów słynnego ESPRIT DU ROSEY.

„Kod natury” Leszka Wyczółkowskiego w Warszawie



Wystawa Leszka Wyczółkowskiego „Kod natury” ukazuje dorobek graficzny wybranych prac z ostatnich piętnastu lat twórczości artysty, który, mieszkając od wielu lat w Kanadzie, czerpie głębokie inspiracje z bycia obywatelem dwóch ojczyzn.

Jego prace znajdują się na pograniczu syntetyzmu i abstrakcji geometrycznej. To połączenie i balans dwóch światów. Świata natury – miękkiego, organicznego, pełnego uczuć i instynktów

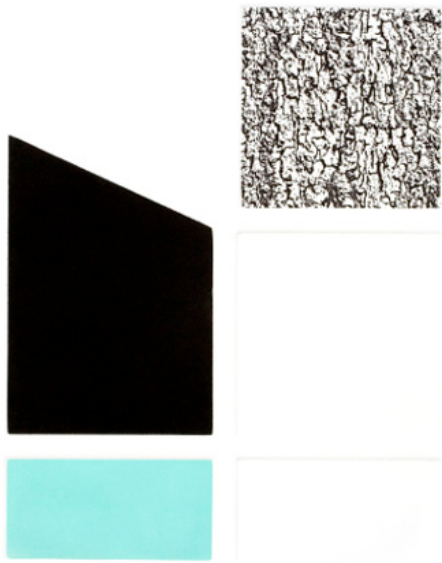
oraz świata geometrii – dyscypliny i logiki. Zestawiając te dwa opozycyjne wobec siebie światy, stara się je pogodzić na tyle, by wydobyć z nich piękno przełożone na język sztuki.

Wyczółkowski buduje swoje specyficzne kompozycje z kwadratowych matryc trawionych w klasycznych technikach metalowych, akwatinty i akwaforty. Przedstawia w nich struktury zaczerpnięte z natury lub wyobraźni z formami geometrii jak koło, jego wycinek, kwadrat, prostokąt, trójkąt, zwielokrotnione linie pasów. Ostatnio wprowadza do swoich kompozycji kolor, jest to soczysta czerwień, żółć i błękit. Dodaje to grafikom jakby trzeci wymiar, wprowadza element emocji, wnosząc dodatkowy walor estetyczny. Czasami w kompozycjach pojawiają się odcisnięte czyste kwatery, dające nam oddech, przestrzeń do podróży naszej wyobraźni.

Twórczość Leszka Wyczółkowskiego to przykład wspaniałej równowagi między znakomitym warsztatem a bogatą wyobraźnią. Wystawa „Kod natury” zadowoli tych, którzy oczekują od sztuki współczesnej stymulacji wyobraźni, estetyki i balansu.



Leszek Wyczółkowski, INTRODUCTION, akwatinta 2008.



Leszek Wyczółkowski, EXPLANATION, akwatinta 2014.

Leszek Wyczółkowski urodził się w Zielonce, koło Warszawy. Od wczesnych lat wykazywał zainteresowanie literaturą i sztukami plastycznymi. W tych ostatnich pomagał mu jego ojciec, Witold Wyczółkowski (1921 – 2012) – znany artysta plastyk i ilustrator – wprowadzając syna w arkana sztuki i ucząc go plastycznego abecadła. Ta obecność sztuki w domu rodzinnym (Leon Wyczółkowski, znany malarz i grafik okresu Młodej Polski – to stryjeczny pradziadek Leszka) pomagała młodemu Wyczółkowskiemu w ukierunkowaniu jego zainteresowań plastyką.

W latach 1975 -1977 Leszek Wyczółkowski studiował na Wydziale Grafiki w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W 1978 roku po długich wjazdach europejskich, Wyczółkowski przybył do Kanady, gdzie kontynuował studia artystyczne na Wydziale Sztuk Pięknych w Ontario College of Art, które ukończył z wyróżnieniem w 1982 roku. Od tego okresu sztuka Wyczółkowskiego zaczęła być obecna w galeriach i muzeach. Uprawia malarstwo sztalugowe i grafikę artystyczną. Pokazywał swoją sztukę w ponad 180 wystawach zarówno indywidualnych jak i grupowych w Austrii, Belgii, Francji, Grecji, Holandii, Japonii, Kanadzie, Malezji, Polsce, Stanach Zjednoczonych, Szwecji, Wielkiej Brytanii i we Włoszech. Jego prace znajdują się w zbiorach muzealnych, galeriach publicznych, korporacjach i prywatnych wyżej wymienionych państw.

WAŻNIEJSZE WYSTAWY:

2017 Galeria 022 OWZPAP, Warszawa - Polska

Międzynarodowe Centrum Sztuk Graficznych, Kraków - Polska

2016 Idea Exchange Art + Design, Preston Gallery,

Cambridge, ON - Kanada

2015 Station Gallery, Whitby, ON - Kanada

2013 Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej w Przemyśle -
Polska

2011 Muzeum Okręgowe im. L. Wyczółkowskiego w
Bydgoszczy - Polska

Burlington Art Center, Burlington, ON - Kanada

2009 Centrum Sztuki Galeria EL w Elblągu - Polska

Galerie d'art Jean Claude Bergeron, Ottawa, ON - Kanada

2008 Muzeum Chełmskie, Chełm - Polska

Muzeum śląskie, Katowice - Polska

WKP Kennedy Gallery, North Bay, ON - Kanada

2003 Muzeum Narodowe w Kielcach - Polska

Muzeum Historii Miasta Łodzi - Polska

Wałbrzyska Galeria Sztuki BWA "Książ-Zamek" - Polska

1112 Gallery/Society for Arts, Chicago - U. S. A.

2002 Centrum Kultury "Zamek" Galeria Profil, Poznań -
Polska

Galeria Sztuki Współczesnej BWA Kalisz - Polska

Galeria Sztuki Współczesnej Opole - Polska

2001 Muzeum Narodowe we Wrocławiu - Polska

The Triangle Gallery of Visual Art, Calgary, AB - Kanada

1999 1112 Gallery/Society for Arts, Chicago - U. S. A.

1996 Muzeum Okręgowe w Siedlcach - Polska

Muzeum Polskie w Ameryce, Chicago - U.S.A.

1994 Muzeum Narodowe w Krakowie - Polska

Stara Kordegarda Gallery, Warszawa - Polska

1992 World Trade Centre, Toronto - Kanada

1991 Centrum Kultury i Sztuki w Kaliszu - Polska

1990 Muzeum Okręgowe im. L. Wyczółkowskiego w Bydgoszczy - Polska

1989 Art Gallery Planty 3, Kraków - Polska

Otrzymany czas
musisz godnie
przeżyć. Henryk
Mikołaj Górecki

(1933-2010).



Henryk Mikołaj Górecki, fot. voiceseducation.org

Florian Śmieja

GÓRECKI

Po latach szukania w sobie natrafił

na fortunną aberrację, napisał
arcydzieło uznane przez cały świat
jako piętno geniuszu, apogeum
smutku rozdzierającego serce, żar
obnażenia dumnej ludzkiej kondycji.
I takim go odtąd zapamiętamy.

Stefana Kisielewskiego poznałem w Londynie, gościłem w swoim domu w Kanadzie i parę razy odwiedziłem w Warszawie.

Pamiętam, że w bibliotece domowej redaktora „Związkowca” w Toronto przeczytałem przewrotny wpis Stefana Kisielewskiego: „Bumkowi Heydenkornowi, jedynemu prawdziwemu miłośnikowi muzyki jakiego znam”.

Ze Stefanem Kisielewskim rozmawiałem także o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił Henryka

Mikołaja Góreckiego (1933-2010). Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałosnych podbiła świat. Stała się rewelacją, bo będąc utworem muzyki klasycznej uplasowała się niespodziewanie na pierwszym miejscu popularności na świecie.

Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalna amerykańska rozgłośnia radiowa złożyła Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowała jego sławną symfonię, w której Amerykanka, Dawn Upshaw, piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy.

Wtedy poczułem dumę, że dzięki niemu fragment kulturalnego dziedzictwa polskiego podniesiony do rangi uniwersalnej urody popłynął na falach eteru. Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do Góreckiego list z dobrą wiadomością, którą się uradował kwitując pismem, w którym kurtuazyjnie wspomniał o mojej poprzedniej korespondencji oraz o tomie wierszy, który przesłałem. Po tym niezwykłym sukcesie Góreckiego, wiązałem z nim duże nadzieje nie wiedząc o jego chorobie, a teraz ogromnie żałuję, że nam odszedł tak wcześnie nie doczekawszy się nawet prezentacji swojej „IV Symfonii”. Pozostała po nim garść wybitnych kompozycji religijnych oraz zdumiewająca symfonia wstrząsającego smutku.

- Pamiętam, że już wtedy nam powtarzał, że będzie pisał muzykę. Byliśmy młodzi i każdy z nas miał wielkie plany, więc nikt się jego deklaracjom nie dziwił. Było to dla nas oczywiste, że każdy ma duże ambicje - wspominała w rozmowie z „Gazetą” Irena Krzyszkowska, szkolna koleżanka Góreckiego, pedagog rybnickiej szkoły w klasie fortepianu.

Powiedzieć, że był wtedy ambitny i pracowity, to mało. On był zawzięty. Rano, dla pieniędzy, uczył w podstawówce w Rydułtowach, po południu jechał na zajęcia do szkoły muzycznej, wieczorem - na koncert do Katowic. Gdy nie zdążył na przesiadkę do rodzinnych Rydułtów, spędzał noc - komponując lub śpiąc - na dworcu kolejowym w Rybniku.

Talent i zawziętość przynoszą efekty - Górecki bez problemu zdał na studia do katowickiej akademii muzycznej. Do legendy przejdą słowa słynnego Bolesława Szabelskiego, jego przyszłego nauczyciela i mistrza: - Tak zdolnego ucznia jeszcze nie miałem.

- To, że jestem taki, a nie inny, zawdzięczam temu, że stąd pochodzę - powiedział Górecki kilka lat temu przy okazji odbierania nagrody „za rozsławianie ziemi rybnickiej w świecie”. I dodał: - Nikt sobie czasu i miejsca urodzenia nie wybiera. Otrzymany czas musisz godnie przeżyć, a miejsce szanować i być za nie odpowiedzialny.

Katowice, 20. 1. 97.

Drogi Panie,

dziękuję Panu za przedzielną "Dzielną"
i podziękować za ostatni list, to miłe wiadomości
(zwłaszcza "Dzielną") i artykuły. Wszystko to bardzo
dobrze - interesujące - daje dużo do myślenia.

Dziękuję!

Rozprawy mi na podziękowań, korespondencji
i dowodach. Nicuś mi nie napisz - przebież.
Może ten mi będzie potrzebny.

Serdecznie Pana pozdrawiam.

Zawsze dużo zdrowia.

H. M. Górnik

H. M. G.

ul. Alfonsa GÓRNIKA 4/1
40-133 KATOWICE

Honor i Ojczyzna



Wojciech Kossak (1856 – 1942) W GALOPIE, 1928 olej, płótno / 79 x 101 cm sygn. l.d.: Wojciech Kossak / 1928.

Zdzisław Najder

Te dwa słowa można uznać za kluczowe dla całej tradycji

etosu rycerskiego.

Honor i Ojczyzna. Wyszywane na sztandarach, były – na mocy uchwały Sejmu Ustawodawczego – od roku 1919 dewizą Wojska Polskiego, odrodzonego po okresie zaborów. W roku 1943, i ponownie 1993, dodano do niej jeszcze słowo „Bóg”. Skąd się one wzięły? Z dewizy „Honneur et Patrie” na orderach francuskiej Legii Honorowej. Przecież nasi rodacy zaczynali walkę o odzyskanie niepodległości pod francuskimi sztandarami. Polacy, zaraz po Francuzach, są najliczniejszą grupą wśród odznaczonych tymi sławnymi orderami, ustanowionymi przez Napoleona I.

W pierwszej wojnie stoczonej przez to wojsko, wielkiej rozprawie z bolszewicką Rosją, Francja była naszym jedynym, choć odległym, sprzymierzeńcem. Oba słowa mają za sobą długą historię, liczącą ponad dwa tysiące lat. Można je uznać za podstawowe dla całej, znacznie starszej, tradycji etosu rycerskiego. Etosu, to znaczy zespołu zasad i obyczajów, który największą rolę odgrywał w Średniowieczu, a w Polsce, na skutek jej szczególnych dziejów społecznych i politycznych, do połowy ubiegłego wieku. Etosu, który był od początku ściśle związany z zawodem żołnierza.

Zamierzam przyjrzeć się historii i odmianom tego etosu. Widzimy go we wczesnośredniowiecznej Francji i dziewiętnastowiecznej

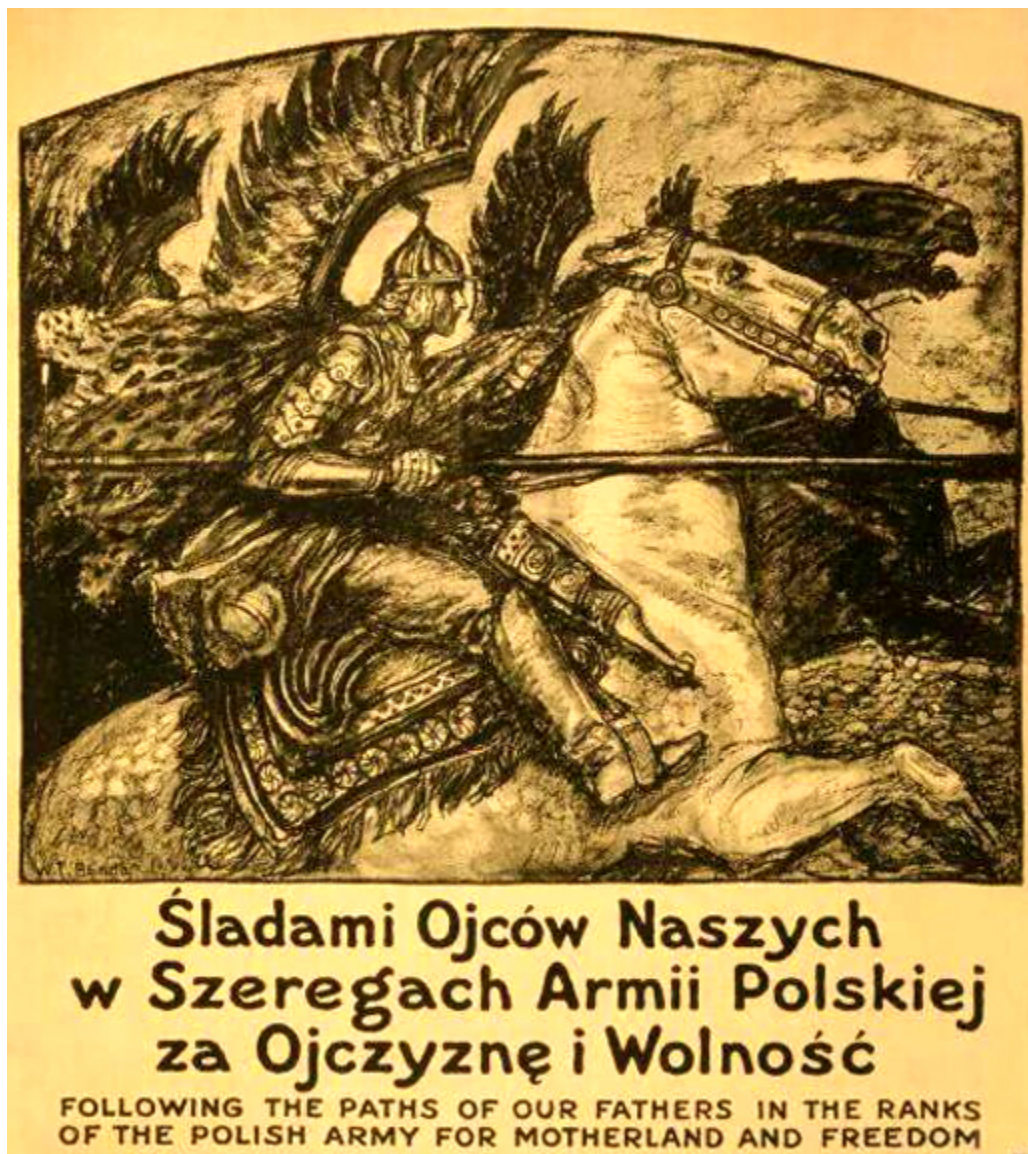
Polsce, w Japonii samurajów oraz na amerykańskim Dzikim Zachodzie. Proste pojęcia, które go zwykle opisują, takie jak odwaga, wierność, walka i wróg, przy głębszej analizie stają się paradoksami. A samo słowo „honor” bywa dziś przecież rozumiane na bardzo rozmaite, nawet sprzeczne sposoby. Niektórzy uważają je za anachroniczne, inni beztrząsco nim szafują.

„Ojczyzna” też nie jest pojęciem prostym do zdefiniowania. I bywa słowem trudnym do przetłumaczenia. Dość zauważyć, że Niemcy mogą je tłumaczyć jako „Heimat” albo jako „Vaterland” – a to jest co innego (i wyraz „Vaterland” jest dla nich trochę kłopotliwy). Natomiast w angielskim w ogóle nie ma porządnego odpowiednika, bo pseudosynonimy, takie jak sztuczne „fatherland” czy „motherland”, albo wieloznaczne „home” znaczy coś całkiem innego i budzi inne skojarzenia.

Słowa są stare, etos jeszcze starszy, ale ludzkie problemy, które się za nimi kryją, problemy decyzji moralnych, postaw i cech charakteru, wcale nie przebrzmiały. Od tysiącleci są przedmiotem poematów, rozpraw filozoficznych i powieści, obfitują w nie współczesne filmy. W realnym życiu stawali i stają przed nimi zarówno poborowi, jak i zawodowcy, zarówno żołnierze, jak, czasem zwykli ludzie w chwilach próby.

Chciałbym pokazać ogromne, dziś na ogół zapomniane,

bogactwo tradycji etosu rycerskiego. Bez jego poznania trudno nam zrozumieć naszych przodków, nawet tych odległych ledwie o dwa pokolenia. A skróty i uproszczenia zubażają, gmatwają, zaciemniają rzeczywistość.



Władysław Teodor Benda, plakat zachęcający do wstępowania do wojska polskiego, organizowanego przez Ignacego Paderewskiego w USA, dla odzyskania niepodległości Polski.

Profesor Zdzisław Najder

W 1976 roku założył podziemne Polskie Porozumienie Niepodległościowe. W latach 1982-1987 był dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, skazany w 1983 roku zaocznie na śmierć przez Sąd Wojskowy w Warszawie. W 1991 roku założyciel oraz I prezes Klubu Atlantyckiego, postulującego wejście RP do NATO.

Artykuł ukazał się w piśmie „Polska Zbrojna” nr 01 | 04 stycznia 2009 r.